

List od Pikula

Jestem od lat fanem **Józefa Barana**. W 1974 roku jechałem do siostry do Solca Zdroju. Wysiadłem po drodze w Staszowie. Gdy swoim zwyczajem myszkowowałem po księgarni, natknąłem się na jego pierwszy tomik „nasze najszczersze rozmowy”. Potem, jako czytelnik, wierny, tak zwanej wiejskiej prasie, kupiłem kiedyś „Wieści”. Wybitny poeta, bo go już wtedy określiłem, zaczął właśnie w „Wieściach” pracować i napisał coś krótkiego, bodaj felieton o Diogenesie. Potem już systematycznie kupowałem jego kolejne książki. Nie bardzo podobało mi się stwierdzenie, chyba Sandauera, że jest poetą szwejkowskim. Teraz to już zupełnie ten epitet do niego nie pasuje. Ale już wtedy wiedziałem, że ten Szwejk to tylko przebranie. Pod pełnymi humoru kostiumami skrywała się absolutna powaga. Po czym ta „szwejkowość” zaczęła kompletnie zanikać. Jeszcze w tomiku „Pędy i pęta” były jakieś drobne ślady wiodące ku tamtemu stylowi. Np. wiersz o „Prawdzie” zaczynający się od słów:

*jeszcze my ją tak wy kołujemy że zapomni
gdzie się urodziła
jak niedźwiedzia ją wytresujemy
że nam będzie – jak chcemy – tańczyła*

Dzisiaj Baran jest jednym z najpoważniejszych poetów. Czasem tylko, nieoczekiwanym rytmem, daje znać o swej predylekcji do żartów, aby zmniejszyć lub oddalić dramat, ale nie ma nic wspólnego ze Szwejkem. Dziś Baran jak rzadko kto uprawia niesamowity kult życia, z wszystkimi jego przejawami. Jest poetą olbrzymiej akceptacji istnienia, aprobaty ziemskiego losu. Borzęcińska miłość, otrzymana w spadku po rodzicach, wychodzi z Barana, spróbujemy powiedzieć dowcipnie, żeby nie popaść w egzaltację, jak słoma z butów Burego czy jego skłonności do życia w aferach. Kukułka w wierszach Barana woła, jakże zachwycająco i niemal bosko, iż wszystko z miłości powstało na Ziemi. A maj jest iskrą rozniecającą lonty wyobraźni. A lato przychyła Ziemi kawał nieba. A tysiąc słoneczników zwraca się twarzą ku słonecznemu Mistrzowi. Takie wyznanie zastąpi i tysiąc modlitw. Życie jest dobre, istnienie ma chwile rozkoszy. A to, że Matka w dziewięćdziesiątym roku życia zapomina imiona wnuków i prawnuków... A cóż w tym dziwnego? Życie jest pełne niesamowitości. Ale jednocześnie niezwyklej urody. Ci co się spóźnią na miłość, jeszcze mają szansę, jakież to piękne, wskoczyć do ostatniego wagonu. I wtedy on ma oczy, ręce, usta, pełne jej nagości. Wyjadą nad morze, i będą słuchać jak mruczy i patrzeć jak przewraca się z fali na falę. A potem wrócą do Borzęcina albo do Łubnic i będą jeść się łyżkami, patrząc jak piwonie płoną miłością do słońca. Słynny wawóz na Krecie. Kto umie kochać, nie zapomni jego piękna. Ale nie

pokazujecie, o bogowie, nikomu I przyszłego istnienia, bo tam w tym wawozie – to już moja uwaga – były przypadki śmierci i nie wiadomo, czy takiemu chciałoby się tam dążyć. Baran zadaje pytania najwyższej klasy. Czy, jak rzekł Camus, życie warto trudu przeżywania? Ale co tam takie pytanie dla kreteńskich skał... One zwisają milion lat, a poniżej trwa krótka krzątanina ludzików. A gdzie w tym wszystkim jest Pan Bóg? Papież Benedykt stał pod napisem w Auschwitzu i też zapytał: ale gdzie Bóg był wtedy? Nie pytajcie o Boga, o śmiertelni. Baran wam powie słusznie, że Boga jest więcej w poszumie morza, w tańcu Zorby, w gruchaniu synogarlic. Miłość do świata tkwi w Baranie, zrosła się z jego jestestwem na wieki. Ale to jest miłość nie do społecznych urzędzeń świata, ale do samej Natury, do jądra Przyrody. Oczywiście poeta jest świadom, że nie tylko otacza go piękno. Gdzieś zaraz tu obok buszuje partyzantka siedmiu zmysłów, toczą się jakieś „genitalne sprawy”, często zwycięża królestwo instynktów. No trudno. Ale przecież człowiek nie jest maszyną tylko do przeżuwania, jak krowa, dni i nocy. Ziemia wypełniona bywa górami głupoty. W swoim stylu stwierdza Baran, no zgoda, w wyścigu do niej mogą być ostatni. Dobrą radą na wszystko jest modlitwa. Ale modlitwy się znoszą, mówi Baran, nihilują wzajemnie. Adamek prosi o znokautowanie Salety, ale Saleta, dowcipkuje Baran, prosi o znokautowanie Adamka. Dobrze, chłopcy i dziewczęta, jest jak jest, dzisiaj jedźmy do Borzęcina, gdzie wielki ołtarz Nieba wypolerowany na najwyższy połysk słońca. Bo Baran bywa przeważnie poetą świetlistym i promiennym. I tego mu zazdroszczę. Jest piewą radości życia, afirmatorem – nazwijmy – istnienia. Po prostu, podkreślmy, bo to jest jakby *clou* poezji Barana, autor najnowszego zbioru „Szczęście w czapce niewidce”, tak jak i w wielu poprzednich wierszach, jest współczesnym epikurejczykiem. Zasadniczym problemem epikurejczyków była sprawa szczęścia. Dostrzegali ją przede wszystkim w przyjemnościach, w rozkoszach. Przyjemności widzieli jako czynne i bierne. Bierne przychodziły do człowieka same, człowiek nie osiągał ich w wyniku wysiłku, nie musiał o nie zabiegać w jakiś aktywny sposób. Czynne to na przykład uczestnictwo w kulturze, kult poezji, który Baran uprawia skuteczniej i piękniej niż wielu zjadaczy chleba naszego powszedniego, filozoficzne dysputy choćby ich istotą było poszukiwanie wczorajszego dnia, no a także, nie bójmy się trywializowania problemu, seks. Baran pod żadnym względem nie jest poetą ani człowiekiem trywialnym. Seks u Barana staje się szczęściodajnym źródłem, ale o tych sprawach tylko w gruncie rzeczy napomyka. Pamiętam jego dawny, ironiczno-zgryźliwy wiersz, wydrukowany na łamach dawnej już przecież „Kultury” („Pieśń miłosna z drugiej połowy XX wieku”). „Że miłość ma dzisiaj jakby charakter motyli / to przymiotnik, a nie

rzeczownik / . Skakanie z kwiatka na kwiatek:

*(...) przeleć przez mnie
bucząc jak trzmiel
ja zamknę oczy
ty pozłotę urody zbierzesz
wprawny trzmielimi czułkami
i odfruniesz nieznanym (...)
kto powiedział
że miłość należy jak ogród
szczepić wiosną
i cierpliwie czekać całymi latami
na owoce (...)*

I pamiętam jak tamtym wierszem byłem urzeczony. Baran i pod tym względem jest poetą wysokiej klasy. Nigdy nie napisałby sławetnego wiersza, jaki napisał niegdyś Sajnóg. I nigdy takiego, jaki na temat miłości napisała Ostrowska. U Barana miłość ma charakter i cielesny, i metafizyczny. Baran nigdy nie naruszył w sobie granic świętości w stosunku do życia jako całości, jak też do seksu. Ma też inny, powiedzmy nomen omen, stosunek, do tej sfery życia, niż na przykład Miłosz. Miłosz w tomiku „Na brzegu rzeki” pisze bowiem: „zawsze uważałem, iż seks jest szatański i że można to robić tylko z własną żoną”. W Miłoszu dość mocno odciskały się bowiem wczesnochrześcijańskie rozważania teologiczne o rajskim grzechu pierworodnym. Jeśli Miłosz tym kogoś zadziwiał, bardzo proszę. Mnie nie dziwi. Baran, tak czy inaczej, ma także – nieustające, wydaje się – uczucie do własnej żony. Gdy jedni poeci pisali kiedyś: „jesteś dla mnie taka umarła, w oddechu cmentarz masz czy co”, co czyni Józef Baran? Dedykuje własnej żonie parę wierszy. Muszę szczerze wyznać, iż to bardzo mi się podoba. Nie widać u niego sprzeczności między tezami jego poezji a realizowaniem w codziennym życiu cnót. Mąż jednej żony, można zażartować w jego stylu, korzystając z biblijnego cytatu i jeszcze dodać dalszą część cytatu: mógłby być biskupem. Ale w istocie swej jest. Nie biskupem, kardynałem. Nie protestujecie, wiem co piszę: kardynałem poezji aprobującej w sposób zaiste nieposkromiony poważne fragmenty naszej egzystencji...

Do czynnych przyjemności, dających mnóstwo szczęścia, należą u Barana podróże. Podróże uwielbiają chyba wszyscy. Kochał je Iwaszkiewicz. I miał tę swoją Taorminę, Matterhorn, Dent du Midi, Sandomierz. Baran był już jak myślę na wszystkich kontynentach. I w tomiku są właśnie piękne wiersze z takich podróży – do Brazylii, Holandii, Grecji, Turcji – wiersze pełne uogólnionych refleksji. Czyż podróże nie dają szczęścia? No dają. Więc, poeci, do diabła, nie narzekajmy tak na życie, wydaje się wołać Baran. Nie jest ono znowu tak ponure jak wam się wydaje. Rozglądnijcie się wokół, mówi także do mnie Baran. I zastanawia się w przeuroczym wierszu „Miałem dużo szczęścia” nad różnym

(Dokończenie na stronie 24)